

GRZESIEK CIEŚLA
MOROCCO
AFRICA TWIN 2009



Zawsze ciągnęło mnie do Afryki, więc wykupiłem ubezpieczenie na transport zwłok do kraju i udałem w swoją najdalszą podróż. Celem jest Sahara w najbardziej dostępnym miejscu kontynentu, czyli w Maroku. Wybieram się tam swoim pierwszym motocyklem, kupioną równo rok wcześniej Afryką Twin. Czasu mało bo tylko dwa tygodnie i kilka dni. Podróż ta jest dla mnie wyjątkowa ale nie zapominam, że byli tam już tacy, którzy dojechali na czarny ład Cezetą czy choćby rowerem - 80 lat wcześniej.

Dzień 1

Czwartek 2.04.09 / Warszawa-Wrocław / ~300km

Po powrocie z roboty jak zwykle na ostatnią chwilę pakuję graty. Nie wiem co zabrać ale to co biorę mieści się w dwóch torbach. Gotuję jajka na twardo bo planowo Wielkanoc wypada na pustyni. Utykam wszystko, odpalam motocykla i ruszam w drogę czym prędzej by nie szukać odpowiedzi na natarczywe pytanie: "po co"? Dojeżdżam do Wrocławia. Nic nie zwiastuje mających się tu rozegrać wydarzeń....



Dzień 2

Piątek / 3.04.09 / Wrocław-Heilbronn / ~750km

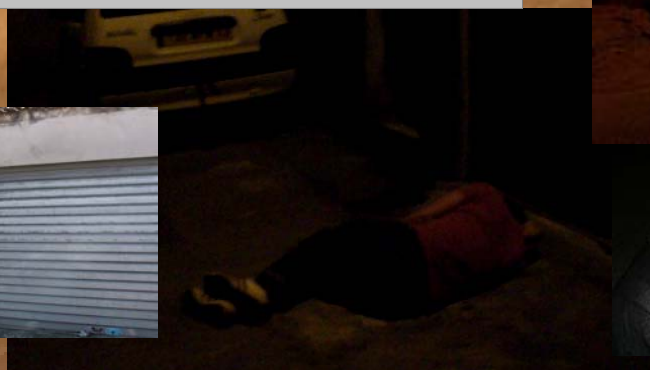
Po nocy spędzonej u serdecznych przyjaciółek i sporej ilości alkoholu trudno zebrać się do drogi. Żegnam się grubo po południu. Autostrady to cholernie nudne drogi. Aktywności poprzedniej nocy krzyżują plany dotarcia do Francji.



Dzień 3

Sobota / 4.04.09 / Heilbronn-Marsylia / ~1200km

Nieludzkim wysiłkiem dupy docieram po zmroku do Marsylii. Błąkam się trochę po wzgórzach i serpentynach ale w końcu znajduję dom Marianne położony na stromym stoku. Spotykam ją, drugi raz w życiu, mówię że nie widzieliśmy się 15 lat ona twierdzi, że co najmniej 17. Dziś są jej 30te urodziny. Przynoszę wódkę i garść polnych kwiatów zerwanych opodal. Jest sporo ludzi, impreza rozkręca się nie zwiastując tragicznego finału. Zapoznany literat wypija ze mną za dużo wódki i skacze, chcąc wskazać mi drogę z wysokości około 3 metrów na ulicę. Oj, nie udał mu się ten Le parkour. Karetka o 4 rano zabiera go do szpitala.



Dzień 4

Niedziela / 5.04.09 / Marsylia – Girona / ~450km

Po późnym śniadaniu telefon ze szpitala. Chłopak ma połamane wszystko co się da (nadgarstek, ramię, kostka i któraś noga). Czuję się nieco winny. Niemniej Francuzi biorą liny i jedziemy do malowniczej zatoki. Kąpiel, skałki, sielanka. Niestety robi się coraz później a ja jestem dziś umówiony na nocleg w Barcelonie. Jadę. Po kilku godzinach zatrzymuje mnie pierwsza awaria. Podejrzewam pompę paliwa. Za chwilę zatrzymuje się jakiś afrykański francuz, który oferuje pomoc i zaprasza mnie do domu. Śpieszę się niestety i wydaje mi się, że udało mi się naprawić awarię. Jestem w błędzie. Zatrzymując się początkowo średnio co 10 km ostatecznie motocykl odmawia wszelkiego posłuszeństwa dokładnie na granicy Francji i Hiszpanii równo o północy. Rozbieram co się da. Na szczęście mam co prawda zepsutą, ale zawsze zapasową pompę. Udaje się z dwóch złożyć jedną. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że może mnie to zawrócić z drogi. Nocuję gdzieś przed Barceloną na Costa Del Sol.



Dzień 5

Poniedziałek / 6.04.09 / Girona - Murcia / ~700km

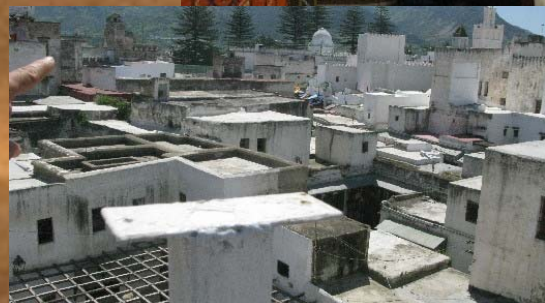
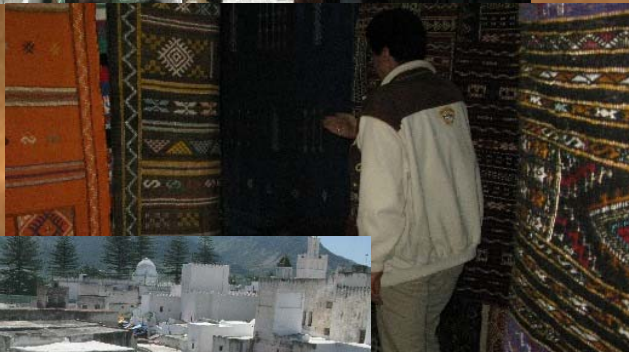
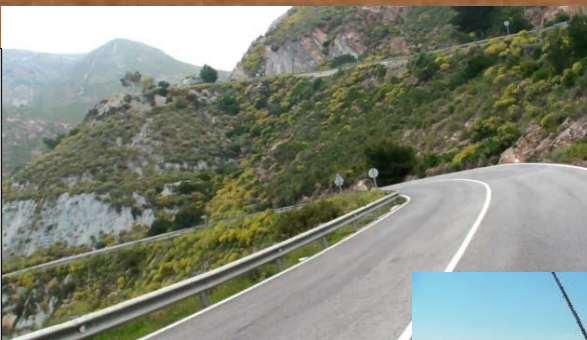
Jako, że kilkanaście dni wcześniej wpadłem pod tramwaj, szczęśliwie bez konsekwencji, czuję się w obowiązku zajechać na chwilę do Sagrada Familia aby zobaczyć to cudo architektury i połączyć się duchowo z Gaudim, który zginął bodaj pod tramwajem. Dalsza część dnia to zdobywanie kolejnych kilometrów w różnych okolicznościach przyrody hiszpańskiej.



Dzień 6

Wtorek / 7.04.09 / Murcia – Ceuta / ~550k

Zaczynają się mylić dni tygodnia co zawsze oznacza prawdziwy początek podróży. Pomykam przez pomidorowe zagłębienie Almerii, potem wybrzeżem śródziemnomorskim w bardzo silnym i uciążliwym wietrze od morza. Wieczorem docieram do portu w Algeciras. W nocy jestem już w Afryce, w Ceucie, dumny, że się udało. Afryka wita mnie ogromną malowniczą procesją z uczestnikami w strojach jak w KuKluxKlan. Wojskowi uświetniają pochód grą na bębnach i defiladą. Pełen koloryt. Po wszystkim zaszywam się w lokalnej knajpce i późno idę spać w schronisku.



Dzień 7

Środa / 8.04.09 / Ceuta-Fez / 300km

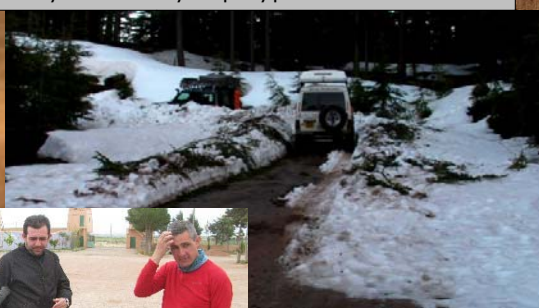
Rano przedostaję się do granicy z Marokiem, która przebiega tuż za miastem. Choć Ceuta leży w Afryce to jest enklawą hiszpańską. Mimo barier kulturowo - językowych przeprawa nie jest zbyt skomplikowana. Najmniej przyjemna jest nachalność "pomagierów". Wjeżdżając do Maroka ograniczam drastycznie tempo podróży. Jadę jak na spacerze, rozglądam się, często zatrzymuję. Pierwszy przystanek to Tetuan. Tutaj zostaję zaatakowany przez kilku tzw. "fałszywych przewodników". Sytuacja jest bardzo niezręczna bo nie sposób się od nich uwolnić. Nie pomagają nawet ostre słowa. Idą tacy za tobą w odległości, od czasu do czasu dogadując, że się zgubiłeś. Doskonale wiedzą gdzie zostawiłeś motocykl i cały ekwipunek. Zwiedzanie w taki sposób jest co najmniej uciążliwe, mimo to udaje mi się pomyszkować po starych labiryntach medyny. Przewodnicy oferują mi żonę, dywany, wskazują kierunek w którym mam podążać - góry Rif.

Ruszam dalej nieśpiesznie mijając łąki, zieleń, pasterzy, sprzedawców haszyszu, niewielkie miejscowości na wlocie i wylocie obstawione patrolami policji. Powietrze jest coraz cieplejsze, coraz wyższe, gdzie niegadzie ośnieżone jeszcze szczyty Rifu. Wieczorem dojeżdżam do Fezu. Noc pod gwiaździstym afrykańskim niebem spędzam w hotelu opodal medyny, gdzie zaglądam jeszcze na chwilę zjeść kolację i spotkać czarnego rastafaraia. Dla takiego samotnego dziwołaga jak ja przetrwanie w tutejszych miejskich warunkach jest wyzwaniem.

Dzień 8

Czwartek / 9.04.09 / Fez-Midelt / ~300km

Mam już dosyć asfaltów, więc decyduję się na pierwszy skrót. Szutrowa nieco błotnista ale przyjemna droga po parunastu kilometrach wchodzi do lasu, zaczyna piąć się w górę, pojawia się śnieg. Zajęty filmowaniem wywalam się w zaspie. Noga zostaje pod wydechem, gorąco, coś skwierczy, na szczęście to tylko śnieg. Adrenalina pozwala wyrwać nogę spod motocykla, z podniesieniem go w śniegu jest już gorzej. O dziwo na tym pozornym pustkowiu za kilka chwil zjawia się terenówka belgów i pytają czy wszystko dobrze. Już tak. Ostrzegają, że dalej jest już tylko gorzej. I faktycznie. Nie potrafię się wycofać, więc muszę kluczyć po lesie, między śniegiem, drzewami i głazami szukając przejazdu w trudnym górskim terenie. Udaje się. Chwałę Mitasy. Kolejna wywrotka jest już bezsensownie głupia bo przy zawracaniu przed przewaloną drzewem, ale motor ustawia się kołami do góry i nie mam siły żeby go podnieść. Kompletne odludzie. Męcę się z 15 minut w końcu wkurwiony, bez ceregieli i z okrzykiem tarzana stawiam żelastwo na koła. Odpalam motocykla. Jedziemy. Jest przyjemny górski krajobraz, lasy poprzęplatane polanami, świeci słońce, sielanka. Dojeżdżam do wodospadów, nabieram pitną wodę, która zdążyła się skończyć, obmywam się. Jak zwykle wybieram nieco mniej uczęszczaną trasę co tym razem prowadzi mnie na górskie błotniste dróżki i serpentyny. Zatrzymuję się co raz, a za mną w bieg udają się górcy pasterze jakby nie widzieli człowieka od lat. Czy to celowo czy nie myślę drogę, jadę błotnistymi pułkami przez wysoką przełęcz. Zaczyna się ściemniać, przeprawa przez góry wydaje się coraz trudniejsza, jest coraz wyżej i powoli kończy się paliwo. Nagle na horyzoncie dostrzegam sylwetki aut terenowych. Konwój anglików przepływających się przez Atlas, jest dla mnie wybawieniem. Jadę z nimi. Zdarza się, że mają problemy w śniegu ale razem docieramy na wieczorny kemping. Miejsce wydaje się być mekką jakichś podróżniczych pomyleńców. Są tu ludzie na skuterach z Portugalii, kilkanaście motocykli w tym trzy afryki, sporo terenówek i wiele innych ciekawych przypadków.



Dzień 9

Piątek / 10.04.09 / Midelt-Merzouga / 400km

Właściciele afryki to ja, Niemiec i Jan z Pragi. Oni mają trochę więcej czasu więc są zdziwieni moim tempem. Z Janem po śniadaniu wybieramy się na krótką pętlę po okolicznych górach. We dwóch jest różnie i można zaliczyć trudniejszy teren. Po obiedzie ruszamy obaj w stronę pustyni. Niemiec pojechał przodem. Pod wieczór docieramy do oczekiwanej pustyni i pierwszych oaz. Od przydrożnych handlarzy dowiaduję się, że w miejscowości Merzouga odbywa się jakiś afrykański festiwal muzyczny. Bardzo chcę tam być w przeciwieństwie do Jana, więc zostawiam go jakieś 30km od celu. Jest już zupełnie ciemno, dochodzi 23.00. Pierwsze co staje mi na przeszkodzie to szeroka rzeka płynąca w poprzek drogi. Chwila wahania i... przejeżdżam prawie po omacku na drugą stronę. Na szczęście bród nie jest głęboki. Teraz może być już tylko łatwiej, myślę. Tymczasem po około 15km droga się kończy i zaczyna totalnie pusta pustynia z piasku!!!! Bezkres. Suchego przestwór oceanu. Sram po gaciach ale jadę. Jedyne nadzieje w GPSie. Nagle pod koło wskakuje skoczek pustynny. Boję się zatrzymać, żeby obejrzeć go z bliska. Po jakichś 40 minutach na horyzoncie zaczynają majaczyć światła. Merzouga, ostatni przyczółek przed Saharą, wygląda na trochę większą wieś. O festiwalu oczywiście ani widu ani słychu.

Dzień 10

Sobota / 11.04.09 / Merzouga-Sahara / 220km

Budzi mnie ryk wielbłądów. Wychodzę za zabudowania gdzie rozciąga się iście pocztówkowy widok na wielu **Erg Chebbi**. Po śniadaniu udaję się do miasta. Nabieram paliwa z butelek, kupuję turban (bez tego dobrodziejstwa nie sposób wytrzymać na pustyni) i trzy półtoralitrowe butelki wody na zapas. Mam do przejechania około 350km pustynnych bezdroży (trasa M6 Chrisa Scotta). Merzouga z racji Ergu to miejscowość iście turystyczna. Zjeżdżają się tu wszyscy popaprańcy, bo jak się okazuje dochodzi tutaj również droga asfaltowa, którą wczoraj przeoczyłem. Zaraz przed moim odjazdem spotykam Niemca i Jana. Pijemy wspólnie herbatę miętową na pożegnanie. Patrzę na mnie trochę jak na idiotę, kiedy wsiadam na motocykla i samotnie kieruję w stronę Sahary. Jest już południe. Jest jeszcze kawałek asfaltu, którym dojeżdżam do Taouz. Tam lokalny przewodnik na komarku wyprowadza mnie za jak zwykle drobną opłatą na pustynię, ostrzegając, że za około 70km będzie wyschnięta rzeka z którą sobie nie poradzę. Zostawia wizytówkę z numerem telefonu i każe dzwonić w razie problemów. Traktuję to raczej jako naciąganie i postanawiam nie poddawać się dopóki nie będzie naprawdę bez wyjścia. Wypuszczam się w piach, kurz, słońce. Jest szalenie, niemożliwie, cudownie i niepokojąco. Targają mną dziwne uczucia. Lęk, starach, miesza się z dumą, szczęściem, podnieceniem. Jest adrenalina. Oczywiście z perspektywy pustynia nie jest taka straszna jak może się wydawać. Na pewno nie ta marokańska. Jedzie się traktem, prawie zawsze widać ślady samochodów. Niekiedy przejedzie kawalkada terenówek. Pojedyncze zazwyczaj zatrzymują się a kierowcy wychylający się z klimatyzowanych wnętrz z lekkim niedowierzaniem pytają czy niczego mi nie potrzeba i czy się nie zgubiłem. Nie, nie zgubiłem się. Po kilkunastu autach zastanawiam się, gdzie do licha są motocykle? Nie ma i nie będzie.

Pierwsza gleba w cholernie głębokim, kopnym piasku. Uświadamiam sobie, że właśnie przejechałem około 80km. Paliwo którego nie wiedziałem ile będę potrzebował na przejechanie pustyni leje się spod motocykla. Żar pozbawia mnie sił na jego podniesienie, a piach nie daje punktu podparcia dla podźwignięcia tych cholernych 250kg. Ale udało się. Musiało się udać. Właściciel motoroweru miał słuszność - przeprawa przez suchą rzekę, w pełnym słońcu, ciężkim motocyklem, to koszmar. Kotłuję się w tej piaskownicy chyba z pół godziny, na drugim biegu, odpychając nogami, z tylną ośką po pachy zanim dojadę do koryta rzeki. Następne pół zajmuje mi wydostanie się na ubitą ziemię z drugiej strony.

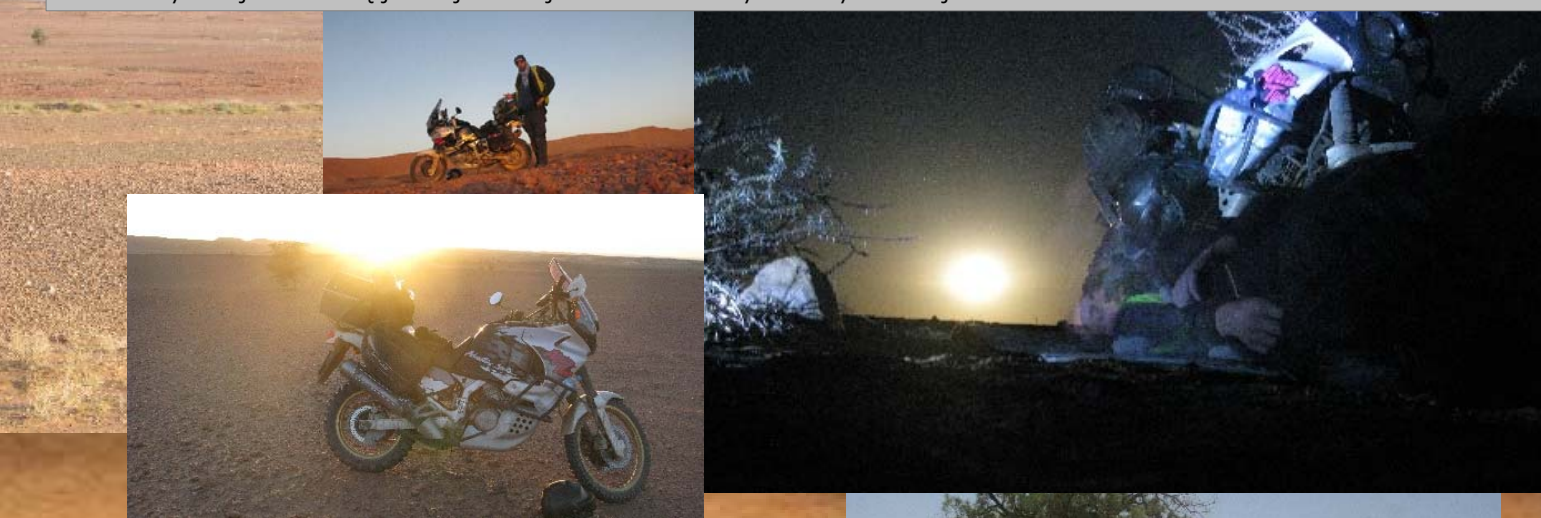
Powoli zaczynałem mieć wszystkiego dość. Na szczęście dalej zaczynają się fajne, gładkie, szutrowe odcinki w malowniczym rozłożystym wąwozie, gdzie można jechać śmiało ponad 100km/h. Wiater we włosach i bezkresna przestrzeń przede mną i tumany kurzu za mną. Jestem szczęśliwy.

Po drodze zahaczam o jakąś osadę gdzie w chałupie dostaję miskę stawy. Dalej czeka mnie kolejna rzeka. Tym razem teren jest zabagniony ale po dłuższej chwili znajduję w miarę łatwy przejazd. Kolejną czwartą wywrotkę tego wyjazdu zaliczam chyba tylko ze strachu, w kopnym piachu. Już wiem, że nie mam siły na żadną następną wywrotkę więc dalsza jedynie słuszna strategia jazdy po piachu przychodzi sama. Łycha.



Trochę się śpieszę pędząc po naprawdę bezkresnym pustkowiu. Mogę jechać właściwie w każdym kierunku z maksymalną szybkością, jak po klepsku. Około godziny 21 słońce zaczyna chować się za horyzontem. Niebo i ziemia przybierają ten sam rudy kolor.

Co to? Pustynia przegrodzona na wskroś szlabanem w postaci parometrowego łańcucha. To jakiś posterunek na wzniesieniu, gdzie oberwany żołnierz prosi o paszport. Opodal pod kilkoma palmami dwie załogi terenówek przygotowują się do noclegu. Po chwili wahania jadę dalej, mogę zrobić jeszcze ze trzydzieści kilometrów, ale tak naprawdę zależy mi na tym, żeby być dziś na pustyni samotnie. Po kilku kilometrach zapada zmrok i droga zmienia się w kamieniste wertepy. Ciężko jechać w tych warunkach, opadam z sił mimo, że adrenalina pcha na przód i na przód. Rozglądam się za miejscem gdzie mógłbym się położyć. W końcu w zupełnej ciemności niedaleko od pisty znajduję kawałek piaszczystej ziemi wśród cierniowych krzewów. Nie miałem siły ani ochoty wyciągać namiotu. Zrobiło się chłodno więc tylko przykryłem się śpiworem i położyłem obok motocykla w "opakowaniu". Rozgwieżdżone niebo było na wyciągnięcie ręki. Po pewnym czasie z nad horyzont wzniosła się olbrzymia złota kula. Zrobiło się jasno. Gwiazdy zdawały się wędrować po nieboskłonie z zawrotną prędkością. Mam wrażenie, że widzę jak cały wszechświat obraca się wokół mnie. Wtem coś zaszeleściło pod głową i na mój paniczny ruch uciekło pod tylne koło. Wydawało mi się że to skorpion chociaż nie mam pojęcia czy skorpiony mogą żyć w tamtych warunkach. Niemniej oddaliło sen. Po kilkunastu minutach stała się kolejna niesamowita jak mi się wydawało na tym pustkowiu rzecz. Usłyszałem szczekanie psa. Zacząłem w delikatnym przerażeniu nasłuchiwać. Mam wrażenie, że ktoś się zbliża w moją stronę. Po kolejnych kilkunastu minutach dostrzegam przez chwilę światło latarki i dwie sylwetki. Jest pewne, że kierują się w moją stronę. Nie pozostało mi nic innego jak tylko czekać. Na kilka metrów ode mnie światło latarki znowu rozbłyska prosto w moją twarz. Nie mam pojęcia kim są ci ludzie ani czego ode mnie chcą. Po chwili dociera do mnie, że chcą zobaczyć paszport. Części wojskowej garderoby mogą sugerować, że ci panowie mają cokolwiek wspólnego z wojskiem. Później okazuje się, że miejsce które wybrałem na nocleg leży administracyjnie już właściwie w Algierii, więc byli to chyba pogranicznicy. Ostatecznie podziękowali mi za wylegitymowanie i zapytali czy nie chcę zjeść i przenocować na posterunku. Podziękowałem, odpowiedziałem że szukam przygody (sam sobie w to nie wierząc) i pożegnałem się z nimi. Próbowałem spać ale było zimniej i zimniej i w rezultacie nie wiem czy zmrzyłem oczy na dłużej niż godzinę. Na pewno zasnąłem na trochę nad ranem bo obudził mnie warkot samochodów. Z dwóch terenówek, które podjechały wyskoczyło kilku francuzów zaniepokojonych moim barłogiem w dziwnym miejscu. Upewniłem ich że wszystko jest ze mną jak najbardziej ok. Nie wiem czy uwierzyli ale odjechali.



Dzień 11

Niedziela WIELKANOCNA / 12.04.09 / Sahara-Ouarzazate / 220km

Było około godziny 10tej jak zacząłem szukać w sakwach jajek na twardo które przywoziłem ze sobą. Zaparzyłem kawę i sięgnąłem po ostatniego papierosa. Tak miało wyglądać moje wielkanocne śniadanie. Okazało się jednak, że wszystkie jajka zostały pobite i śmierdzą jak kurewskie buty. Posilony sama kawą odpałem motocykla i pojechałem w dalszą drogę. Pustyni nie zostało już dużo, jakieś 50km. Ale były to znowu kilometry inne niż dotąd, czasami duże połacia wyślizganych skał, czasami rozrzuconych luźno sporych kamieni, niekiedy piękne, klasyczne pustynne krajobrazy. Wreszcie na horyzoncie zamajaczyły niczym fatamorgana zielone palmy. Dotarłem do oazy Tagounite i w tym momencie skończyło się paliwo. Asfaltem podążyłem jeszcze kawałek na południe do miejscowości Mhamid aby wykonać kilka zdjęć, usiadłem zapaliłem papierosa i uświadomiłem sobie, że to właściwie kres mojej podróży. Czekala mnie droga powrotna. Tego dnia postanowiłem dojechać do Ouarzazate. W notatkach znalazłem miejsce o przyjaźnie brzmiącej nazwie Bikers Home. Jak pomyślałem tak zdołem. Odpaliłem motocykla i z wieczora byłem w **Bikers Home**. Jakie było moje zaskoczenie gdy przywitali mnie Peter (Duńczyk, właściciel przybytku) i jego przyjaciel a mój książkowo - internetowy marokański mentor **Tim Cullins** (obok Chrissa Scotta chyba drugi największy motocyklowy eksplorator tego kraju). Tim w tym czasie uzupełniał mapy GPS korzystając w trudnym terenie z pomocy marokańskich niewiast do wyciągania z opałów swojego BMW, **mapy** według których się kierowałem. Atmosfera jest iście domowa i idealna na odpoczynek po pustyni. Pokazałem chłopakom swoje nagrania z pustyni i opowiedziałem o przygodach dwóch ostatnich dni, na co Tim popukał się w czoło i powiedział, że jestem pomyłony. Wtedy uświadomiłem sobie, że być może nie było zbyt rozsądnym to czego "dokonałem". Na szczęście atmosferę rozluźniła dobrze przyjęta i wysoko oceniona przez obu dżentelmenów Żołądkowa Gorzka.



Dzień 12

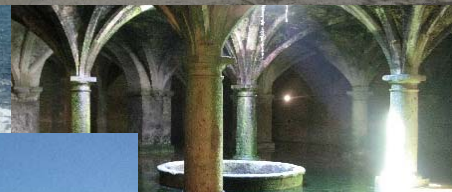
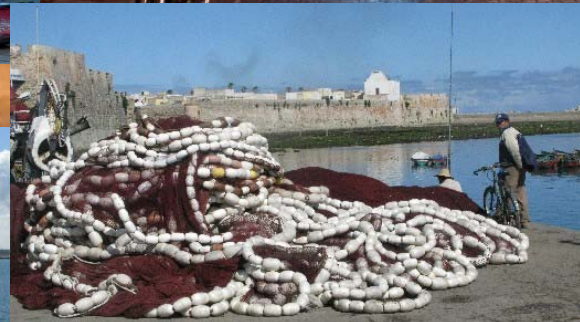
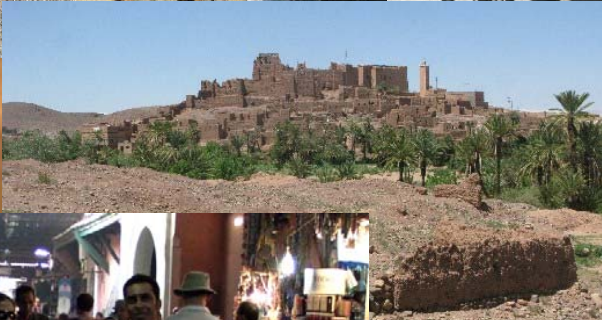
Poniedziałek / 13.04.09 / Ouarzazate - El Jadida /

Dopiero pisząc te słowa uzmysłowiłem sobie, że mam do czynienia z datą 13, bo doskonale koresponduje to z wydarzeniami tamtego ranka. Informacją jaką mnie przywitał Peter była następująca: "Strajk transportowców w całym Maroku. Domagają się zwiększenia limitu punktów karnych. Brak paliwa w całym kraju." Z niedowierzaniem idę na pobliską stację. To prawda. Wsiadam z Piterem do auta, sprawdzamy kilka pozostałych stacji, nikt nie sprzedaje paliwa. Na twarzach kierowców karawanów i motocyklistów spod znaku wirującego śmigła pojawia się przerażenie. Dzień, dwa, tydzień, miesiąc? Nikt nie wie ile ta sytuacja potrwa. Na jednej ze stacji zauważam kotłujący się tłumek skuterowców. Okazało się, że sprzedają w niedużych ilościach, przemieszane z olejem paliwo do skuterów. Wracam po afrykę i ustawiam się w kolejce. Dzisiaj znowu los się do mnie uśmiechnął. Docieram do Marrakeszu po drogach pełnych niepokoju, demonstracji, blokad. W zwariowanym ulicznym ruchu zaczynam czuć się jak ryba w wodzie przeciskając się swoją przydużą afryką gdzie się da. Dzięki temu zaliczam wszystkie ważne punkty miasta prawie bez zsiadania z motocykla. Mimo to idę położyć trochę, rozejrzeć się. Tłumy turystów, gra pod przyjezdnych, próby wyłudzenia kasy na każdym kroku doprowadzają mnie przez chwilę do wściekłości. Zbieram się i ruszam nad ocean. Do El Jadida docieram grubo po zmroku. Przed snem przez kilka chwil wpatruję się w fale Atlantyku.

Dzień 13

Wtorek / 14.04.09 / El Jadida->Larache /

Rano jadę do portu. Kutry powoli zaczynają ściągać z połowem. Śmierdzi rybą ale nie ma tu turystów, przez co tworzy się bardzo wyjątkowa atmosfera obcowania z czymś prawdziwym. Raczej nieczęsta gdy przemierza się główne szlaki tego kraju. Odwiedzam średniowieczną cysternę po czym zapalam motocykla i spacerowym tempem przemieszczam się na północ, bezkres wody trzymając po lewej ręce. Tak docieram do Casablanki ale nie ma tu w istocie nic ciekawego. Imponujący jest jedynie olbrzymi meczet i niekończące się slamsy na przedmieściach od północy. Nawet pozwalał sobie zapuścić się nieśmiało w te niewyobrażalne góry śmieci poskładane w domostwa, ale strach i przejawy agresji ze strony autochtonów szybko mnie do tego zniechęcają. Przystaję co i raz aby odpocząć na plaży, poudawać położenie wczasowicza, nawet wjeżdżam na plażę pochlapać się razem z afryką w oceanie ale fala szybko mnie zmywa. Nie ujeżdżam wtedy daleko bo słońca woda zalewa mi dziurawą przeciw pompkę i wszystko zaczyna się grzać i palić w zwarciu. Znowu myślę, że napytałem sobie biedy ale reanimacja udaje się raz jeszcze i jest to ostatnia przygoda ze sprzętem w tej podróży. Nocleg wypada w Larache.



Dzień 14

Środa / 15.04.09 / Larache - Algeciras

Właściwie od początku swojej podróży myślę o tej miejscowości. Jajouka. Górską wioską zamieszkałą przez mistycznych muzyków **Master Musicians of Jajouka**, odkryta dla świata przez wywrotowców szalonych lat 60 zeszłego stulecia. Co można dzisiaj jeszcze tam znaleźć? Postanawiam się przekonać mimo podłej, deszczowej pogody jaka nastąpiła tego dnia i nie opuści mnie prawie do samej Polski. Jadę. GPS pokazuje, że jestem już na miejscu tymczasem wokół zielone wzgórza. Idzie człowiek. Mówię Jajouka. Każe iść za sobą. To Said. Mieszka trochę na uboczu, ma plantacje oliwek i właśnie ościeliła mu się krowa. Zaprasza mnie do swojego domu. Na ścianie skromnej izby wisi skóra kozy, przy drewnianych drzwiach stoi maczeta, okna zagrodzone siatką. Nagle drzwi zatrząskują się i mam niezłego pietra. Na szczęście to tylko wiatr. Said wyciąga jakieś zioła, oliwę i chleb. Częstojuje mnie wszystkim co ma. Rozmawiamy trochę o wsi trochę, o zamieszaniu z muzykami, trochę o nim trochę o mnie. Na pożegnanie daje mi skórę kozy zdjętą ze ściany i wskazuje pobliskie wzgórza. Tam mam szukać Jajouki. Przez wieś prowadzi górską, błotnistą drogą. Z chałupy wychyla się kaptur. Za chwilę zostaję zaproszony do wiejskiej świetlicy na herbatę i 'popis' gry na flecie. Niestety cała ta mistyfikacja ma na celu wyłudzenie kasy. Prawdziwi muzycy dawno wyjechali, a wieś wydaje się wymarła, mam nadzieję, że wyłącznie z racji pogody.

Czas mi do osławionej interzony, Tangeru, gdzie docieram przed wieczorem. Szybkie zwiedzanie i zakupy. Biorę bilet na prom i jadę do portu.

Tu chciałbym uczulić wszystkich jadących, bo jest to jedyny moment gdzie zostałem chamsko oszukany. Mianowicie jadąc do Maroka nie zdążyłem kupić 'zielonej karty' o której myśl nie opuszczała mnie ustawicznie. Wjeżdżając zmęczony do strefy granicznej w Tangerze miałem nadzieję, że nikt mnie o nią nie zapyta. Tymczasem podbiega do mnie trzech kolesi ubranych niby w służbowe uniformy (choć od początku coś mi nie pasowało) i pierwsze o co pytają to 'zielona karta'. Udaję, że nie rozumiem ale pytanie powtarza się po francusku, angielsku, niemiecku w końcu po rosyjsku. Mówię 'nie mam'. Zażądali 50 euro. Po krótkiej dyskusji stanęło na 20. Dopiero po chwili dotarło do mnie co to są za ludzie.

Noc spędzam na rozkołysanym sztormem promie, a nad ranem ląduję w ulewnym deszczu na kontynencie - w Algeciras.



Dzień 15, 16, 17, 18

Czwartek – Niedziela / 16-19.04.09 / Algeciras – Warszawa / ~3500km

Postanawiam wracać przez stolice wszystkich państw. W czwartek zatrzymuję się na chwilę w Madrycie i śpię pod Somosierrą. W piątek nie mam siły aby dojechać do Paryża, więc nie udaje mi się zabawić w stolicy Francji. W sobotę zwiedzam Paryż i dojeżdżam pod Hannover. Tam kończą mi się środki i za 20 euro muszę dojechać do Polski. Opuuszczam Berlin. Jadę za ciężarówkami 90km/h. Spalanie spada do 4 litrów ;). Jeszcze 20 km do granicy i jestem uratowany. Wtem... objazd. Gubię drogę. Cholera! Jadę lasem wzdłuż autostrady. Udaje mi się wrócić na trasę. Motor gaśnie zaraz za granicą. Po zmroku jestem w domu gdzie czekają na mnie niespodziewanie znajomi i przyjaciele.